

Platon

Politeja. Księga VII (fragment)

– Porównaj następnie naszą naturę pod względem wychowania lub jego braku do takiego oto doświadczenia. Wyobraź sobie ludzi w pomieszczeniu podziemnym przypominającym jaskinię z wejściem na górze otwartym ku światłu i rozciągającym się na całą jej szerokość. Ludzie ci żyją w jaskini od lat najmłodszych, mając na nogach i szyjach unieruchamiające ich więzy, które pozwalają patrzeć tylko przed siebie i uniemożliwiają obracanie głowy. Pada na nich światło pochodzące od ognia, jaki pali się powyżej daleko za nimi. Pomiedzy ogniem a więźniami znajduje się u góry droga, wzdłuż której widzisz wzniesiony murek podobny do zasłony zawieszanej przed publicznością przez artystów, którzy pokazują nad nią kukielki.

– Widzę.

– Wyobraź również sobie wzdłuż tego murku ludzi, którzy noszą rozmaitego rodzaju wytwory wystające ponad murek, posągi i inne zwierzęta wytworzone z kamienia, drzewa i różnych materiałów. Jak można przypuszczać, niektórzy z noszących wydają głosy, inni zaś milczą.

– Dziwny przedstawiasz obraz, a i więźniów dziwnych – rzekł.

– Podobnych do nas – odpowiedziałem. – Przede wszystkim, czy sądzisz, że tacy ludzie widzieliby z siebie samych i z siebie nawzajem coś innego niż cienie, jakie dzięki ogniu padają na przeciwległą ścianę jaskini?

– W jaki sposób, skoro przez całe życie muszą trzymać głowy nieruchomo?

– A co z owymi rzeczami, które są noszone wzdłuż murku? Czy nie jest tak samo w ich przypadku?

– Z pewnością.

– A gdyby więźniowie mogli rozmawiać ze sobą, to czy nie myślisz, że by uważali, iż nazwami określają przesuwane się rzeczy przez nich oglądane?

– Koniecznie.

– A co, jeśli w więzieniu brzmiałoby echo odbite od przeciwległej ściany? Kiedy któryś z noszących odezwałby się, to czy sądzisz, że oni uważaliby to odezwanie za pochodzące nie od kogoś innego, lecz od cienia?

– Na Zeusa, ja tak sądzę – odrzekł.

– Więc w ogóle, tacy ludzie – mówiłem dalej – uważaliby za prawdziwe nic innego jak cienie wytworów.

– Absolutnie tak.

– Przyjrzyj się teraz – ciągnąłem – jak wyglądałoby ich wyzwolenie z więzów i leczenie z bezmyślności, gdyby zgodnie z naturą¹ zdarzyło im się coś takiego. Kiedy ktoś z nich zostałby wyzwolony i nagle zmuszono by go do powstania, odwrócenia się, pójścia i skierowania wzroku ku światłu, to robiąc to wszystko, odczułby ból i z powodu blasku nie mógłby spojrzeć na rzeczy, których cienie wcześniej oglądał. Co, według ciebie, powiedziałby, gdyby ktoś mu mówił, że przedtem oglądał jakieś głupstwa, a teraz, ponieważ znajduje się bliżej tego, co jest, i bardziej zwraca się ku rzeczom, które są, widzi słuszniej? A szczególnie, gdyby ktoś mu pokazał każdą tych przesuujących się rzeczy i zmusił do odpowiedzi na pytanie, czym one są, to czy nie sądzisz, że popadłby w konfuzję i uważał, że rzeczy oglądane wcześniej są prawdziwsze od tych, jakie teraz mu się pokazuje?

– Jak najbardziej – potwierdził.

¹ Wyrażenie „zgodnie z naturą” (*physei*) jest w tym miejscu niejasne i stwarza sporo kłopotu. Rzecz w tym, że wyzwoleniec, o którym mowa, wcale nie uzyskuje wolności naturalną kolejną rzeczy, lecz jest do niej zmuszany. Dwa najprawdopodobniejsze wyjaśnienia tej frazy to albo przez przeciwstawienie naturalności nienaturalności, a tą przeciwieństwem było przebywanie całe życie w uwięzieniu, albo przez tłumaczenie frazy *physei* jako „rzeczywiście”. Niektórzy tłumacze tę frazę po prostu ignorują, widząc w niej zapewne bezzasadny wtręt (np. EJP).

- Gdyby zaś ktoś zmuszał go do patrzenia w światło samo, to bolałyby go oczy, a on odwracałby się, by uciec ku rzeczom, na które mógł patrzeć, i uznałby je za bezsprzecznie wyraźniejsze od tych, które mu teraz pokazują.
- Tak jest – zgodził się.
- Gdyby zaś następnie – mówiłem dalej – ktoś ciągnął go przemocą ku górze po wyboistych stromiznach i nie puściłby, zanim nie wydobyłby go na światło słońca, czy wtedy nie cierpiałby i nie oburzałby się, że go wyciągnięto? A gdyby poszedł ku światłu, to czy mając oczy pełne jego promieni, mógłby widzieć choćby jedną z tych rzeczy, o których by mu teraz mówiono, że są prawdziwe?
- Ależ nie, w każdym razie nie od razu – odparł.
- Sądzę więc, że musiałby się przyzwyczaić, jeśli miałby zobaczyć rzeczy znajdujące się na górze. Najpierw najłatwiej byłoby mu widzieć cienie, następnie wizerunki ludzi i przedmiotów odbite w wodach, a dopiero później rzeczy same. Po tym zaś oglądałby obiekty na niebie i samo niebo, a wzrok kierowałby łatwiej w nocy ku światłu gwiazd i księżycy niż w dzień ku słońcu i światłu słonecznemu.
- Jak najbardziej.
- Słońce zaś – nie jego obraz w wodach lub obcych mu rejonach, lecz słońce samo w sobie w miejscu, które jest jego własne – mógłby dopiero na końcu oglądać i widzieć je takim, jakie jest.
- Koniecznie – potwierdził.
- Po tym wyprowadziłby o nim wniosek, że jest ono źródłem pór roku i lat, że to ono zarządza wszystkimi rzeczami świata widzialnego oraz że jest ono w pewnym sensie odpowiedzialne za tamto wszystko, co oni² oglądali.
- To jasne, że do takich wniosków by doszedł – zgodził się.
- A co będzie, gdy przypomni sobie to swoje pierwsze mieszkanie i ową mądrość i współwięźniów z tamtego okresu? Czy nie myślisz, że zmiana uczyniła go szczęśliwym i on będzie się nad nimi litował?
- I jeszcze jak.
- A gdyby wśród współwięźniów rozdawano zaszczyty, pochwały i nagrody dla tego, kto najbystrzej oglądał przesuwane przedmioty i najlepiej pamiętał, które z nich zwykle wcześniej, które później następowały, a które jednocześnie i na tej podstawie okazał się najzdolniejszym w przewidywaniu tego, co miało się stać, to czy myślisz, że on pragnąłby tego i że zazdrościłby tamtym ich zaszczytów i zdobytej władzy? Czy może raczej doznawałby tego, co opisał Homer, i bardziej wolałby *już harować jak najlichszy parobek u bezrolnego chłopca*³ czy doświadczać czegokolwiek raczej niż wdawać się w tamtejsze mniemania i prowadzić tamtejsze życie?
- Ja również tak myślę – odrzekł – że przystałby na wszelkie doznania raczej niż na tamto życie.
- Zwróć uwagę jeszcze na to – mówiłem dalej. – Gdyby taki człowiek zszedł na dół i zajął swoje poprzednie miejsce, to czy po nagłym powrocie ze słońca nie miałby oczu pełnych ciemności?
- I to bardzo – przytaknął.
- Gdyby zaś przyszło mu znowu oceniać owe cienie, spierając się o nie z tamtymi więźniami, mając wzrok osłabiony, zanim oczy nie odzyskałyby widzenia, a przystosowanie zajęłoby немало czasu, to czy nie stałby się pośmiewiskiem i czy nie mówiono by o nim, że wy dostał się na górę i powrócił z zepsutymi oczami i że nawet nie warto podejmować prób pójścia do góry. A człowieka, który by ich usiłował wyzwalać i wyprowadzać ku górze, to gdyby tylko mogli coś pochwycić i go zabić, to czy by go nie zabili?
- Z całą pewnością – potwierdził.
- Ten obraz, drogi Glaukonie – podjąłem – należy w całości zestawić z wcześniejszymi wypowiedziami. Gdy przyrównasz ujawniającą się naszym oczom rzeczywistość do

² Oni, czyli więźniowie w jaskini.

³ Homer, *Odyseja* 11.489.

więziennego pomieszczenia, a światło pochodzące od zapalonego w nim ognia do mocy działania słońca, wychodzenie zaś ku górze i oglądanie tego, co powyżej zestawisz z podróżą duszy ku światu pojmowalnemu, to nie pomylisz się co do mojego domysłu, skoro o nim właśnie pragnąłeś usłyszeć. A czy on jest prawdziwy, czy nie, bóg tylko wie. Natomiast to, co mnie się wydaje, wyglądałoby tak. W świecie poznawalnym ostateczna jest Idea Dobra, którą z trudem można zobaczyć. Gdy się ją jednak zobaczy, musi się dojść do wniosku, że ona sama jest dla wszystkich rzeczy przyczyną wszystkiego, co w nich słuszne i pięknie, rodząc w świecie widzialnym światło i tego, kto światłem włada, w świecie zaś pojmowalnym ona sama jest władczynią, tworząc prawdę i umysł. I właśnie Ideę Dobłą powinien zobaczyć każdy, kto zamierza działać rozumnie w życiu prywatnym i publicznym.

– Ja też sądzę tak samo – rzekł – w każdym razie na ile potrafię.

– Dalej więc, osądź ze mną również i to – powiedziałem. – Czy nie dziwi cię, że ci, którzy doszli do tego poziomu, nie chcą się zajmować sprawami ludzkimi, lecz ich dusze zawsze dążą ku górze, by tam przebywać. Tego pewnie należało oczekiwać, skoro i ta kwestia ma być w zgodzie z przedstawionym obrazem.

– Tak, tego należało oczekiwać – przytaknął.

– A czy nie zastanawia cię również rzecz taka? – pytałem dalej. – Jeśli ktoś po rozważaniu kwestii boskich przychodzi do marności spraw ludzkich, to kiepsko się prezentuje i wygląda zgoła śmiesznie, ciągle mając zaburzone widzenie i zanim dostatecznie przywyknie do otaczającej go ciemności, musi przed sądami i w innych miejscach konkurować o cienie sprawiedliwości, czy o jakieś figury te cienie rzucające i wchodzić w spory o to, w jaki sposób są owe rzeczy ujmowane przez ludzi, którzy nigdy nie widzieli sprawiedliwości samej.

– To w ogóle nie jest zastanawiające – odrzekł.

– Człowiek, który byłby rozumny – ciągnąłem – pamiętałby, że są dwa typy zaburzeń w oczach z dwóch sytuacji wynikające: gdy oczy przechodzą ze światła do ciemności oraz gdy przechodzą z ciemności do światła. A jeśliby ów człowiek utrzymywał, że tak samo dzieje się też w duszy, ilekroć zobaczyłby kogoś wzburzonego i niezdolnego do dojrzenia czegokolwiek, to nie drwiłby z niego bezmyślnie, lecz rozważyłby, czy przybywszy z życia jaśniejszego, widzi on gorzej, nie będąc jeszcze przyzwyczajony, czy też po przyjsciu z większej niewiedzy do miejsca jaśniejszego jego duszę olśniewa blask bardziej przenikliwy. I wtedy ów człowiek uznałby tę duszę za szczęśliwą w jej stanie i życiu, natomiast nad tamtą by się litował. A gdyby chciał tę drugą wyśmiewać, to jego śmiech byłby mniej ośmieszający niż ten, jaki skierowałby na duszę przechodzącą z góry, ze światła.

– Bardzo trafnie powiedziałeś – rzekł.

– Jeśli to jest prawda – kontynuowałem – to musimy stawiać te sprawy w sposób następujący. Wychowanie nie jest tym, co niektórzy nim nazywają. Twierdzą oni, że wkładają do duszy wiedzę, której w niej nie ma, tak jakby wstawiali wzrok w niewidzące oczy.

– Tak właśnie mówią – potwierdził.

– Obecny wywód wskazuje jednak – mówiłem dalej – że ta zdolność poznawania zawiera się w duszy każdego. A narząd, którym on poznaje – podobnie do oka, które nie może zwrócić się od ciemności do światła inaczej niż całym ciałem – tak i on całą duszą musi odwrócić się od tego, co zmienne, aż będzie mógł wytrwać w oglądaniu tego, co jest, i tego, co w nim najjaśniejsze. Tym czymś zaś, jak mówiliśmy, jest dobro. Czyż nie tak?

– Tak.

– Temu właśnie powinna służyć umiejętność odwracania, która pozwala duszy najłatwiej i najskuteczniej dokonać zwrotu, aczkolwiek nie obdarza człowieka zdolnością widzenia. Tę zdolność wszak ona już posiada, lecz ponieważ nie jest ona odpowiednio skierowana ani nie widzi tego, co trzeba, owa umiejętność ma ją skorygować.

– Na to wygląda – rzekł.

– Inne zaś cnoty, jakie przypisuje się duszy, wydają się bliskie cnotom ciała.

Najpierw przecież realnie ich tam nie ma, natomiast później są wprowadzane przez obyczaj i ćwiczenia. A cnota rozumienia jest raczej, jak się zdaje, czymś bardziej boskim. Nigdy nie traci ona swojej zdolności sprawczej, a w zależności od dokonanego zwrotu jest albo przydatna i pożyteczna, albo nieprzydatna i szkodliwa. Czy zwróciłeś na to uwagę, jak duszyczka u ludzi, o których mówi się, że są niegodziwi, lecz mądrzy, patrzy bystro i w lot

przenika to, ku czemu się zwróci, co dowodzi, że wzrok ma niełichy, choć musi służyć występkom, a im bystrzej widzi, tym większe zło popełnia?

– Oczywiście – odparł.

– Gdyby jednak owa część takiej natury została już we wczesnym dzieciństwie ociosana i gdyby jej więzów pokrewieństwa ze światem zmiennym pozbyto się niczym ciężarków ołowianych, bo te więzy powstałe przez dogadanie sobie w jedzeniu i w podobnych przyjemnościach oraz przysmakach zwracają wzrok duszy ku dołowi, a więc gdyby się ona od tego uwolniła i skierowała ku rzeczom prawdziwym, to ta sama część u tych samych ludzi widziałaby najbystrzej owe rzeczy, tak jak widzi ona teraz te, na które jest zwrócona.

– To prawdopodobne – rzekł.

– A czy nie jest prawdopodobne również i to – ciągnąłem – co koniecznie wynika z wcześniejszych wypowiedzi, że ludzie bez wychowania i bez doświadczenia w prawdzie nigdy nie będą zadowolającymi zarządcami państwa, ani też nie będą nimi ci, którym pozwolono spędzać życie na ciągłym uczeniu się: ci pierwsi, ponieważ nie znajdują w swoim życiu jednego celu, któremu powinni się oddać we wszystkim, co robią w swoich zajęciach prywatnych i publicznych, ci drudzy, ponieważ z dobrej woli nie będą zajmowali się działaniem, uważając, że jeszcze za życia przenieśli się na Wyspy Szczęśliwe.

– Prawda – przyznał.

– Naszym zadaniem jako założycieli – mówiłem dalej – jest zmusić najlepsze natury, by doszły do tej dziedziny poznania, o której wcześniej powiedzieliśmy, że jest największa, by zobaczyły dobro i zwięźczyły ową podróż ku górze, a gdy już tam będą i wystarczająco się napatrzą, nie trzeba im pozwolić na to, na co teraz się pozwala.

– Czyli na co?

– Aby tam pozostały – odpowiedziałem – i odmawiały zejścia z powrotem w dół do owych więźniów i dzielenia z nimi trudów oraz zaszczytów, czy to lichszych czy poważniejszych.

– Czy więc mamy wyrządzić im niesprawiedliwość – zapytałem – i pogorszyć ich życie, gdy może ono stać się lepszym?

– Znowu, przyjacielu, zapomniałeś – odpowiedziałem – że dla prawa nie jest ważny szczególnie dobry stan rzeczy u jednego rodzaju ludzi w państwie, lecz że organizuje ono taki stan dla całości państwa, tworząc harmonię wśród obywateli przekonywaniem lub przymusem i sprawiając, że będą oni dzielić się ze sobą korzyścią, którą każdy będzie mógł obdarzyć państwową wspólnotą⁴. Prawo tworzy takich mężów w państwie nie po to, aby pozwolić każdemu udanie się w kierunku, w którym ten zechce, lecz aby wykorzystać ich do zespolenia państwa.

– To prawda – przyznał. – Zapomniałem.

– Zważ więc, Glaukonie – podjąłem – że nie wyrządzymy niesprawiedliwości filozofom, którzy wśród nas się pojawią, lecz będziemy do nich mówili rzeczy sprawiedliwe, zmuszając ich dodatkowo, by byli opiekunami innych i strażnikami. Powiemy im, że jeśli w innych państwach pojawią się ludzie im podobni, to nie byłoby stosowne, by się w ich sprawy angażowali, bo tamci wyrosli samorzutnie bez woli swoich ustrojów. Jest wszak rzeczą sprawiedliwą, że to, co wyrasta samorzutnie i nikomu swojego rozwoju nie zawdzięcza, nie będzie też miało ochoty zwracać kosztów rozwoju. *My spłodziliśmy was dla was samych i dla reszty państwa jak wodzów i królów w ulach, dając wam wychowanie lepsze i pełniejsze, niż mieli inni, i czyniąc was zdolnymi do jednego i drugiego życia. Każdy więc z was po kolei musi zejść w dół, by z innymi zamieszkać i przyzwyczać się do oglądania rzeczy ciemnych. A gdy już się przyzwyczajacie, to nieskończenie lepiej będziecie widzieć rzeczy tam się znajdujące i będziecie wiedzieć o każdym z cieni, czym jest i czego jest cieniem, a będziecie to wiedzieć dzięki temu, że oglądaliście już prawdę o rzeczach pięknych, sprawiedliwych i dobrych. W ten sposób państwo będzie przez nas i przez was zarządzane na jawie, nie zaś we śnie, jak obecnie w wielu państwach, gdzie rządzący walczą o cienie i toczą spory o władzę, jakby była ona jakimś wielkim dobrem.* Prawda jest taka: państwo, w którym ludzie mający rządzić najmniej skłonni są do sprawowania władzy, ma z konieczności rządy

⁴ 420b–421c, 462a–466c.

najlepsze i najmniej podatne na konflikty wewnętrzne, natomiast gdy rządzący zachowują się przeciwnie, panują rządy przeciwne.

– Oczywiście – potwierdził.

– A może, jak sądzisz – zapytałem – nasi wychowankowie, gdy to usłyszą, nie dadzą się przekonać i nie zechcą jeden po drugim angażować się w sprawy państwa, lecz będą woleli przebywać ze sobą przez długi czas w świecie czystym?

– Niemożliwe – odparł. – Będziemy wszak rzeczy sprawiedliwe poruczać ludziom, którzy są sprawiedliwi. Przede wszystkim każdy z nich podejdzie do rządzenia jak do czegoś koniecznego w przeciwieństwie do władców obecnie rządzących w każdym państwie.

– Tak to już jest, przyjacielu – rzekłem. – Jeżeli tym, którzy mają rządzić, odkryjesz życie lepsze niż rządenie, to będziesz miał możliwość zbudowania państwa dobrze zarządzanego. Jedynie w tym państwie zdobędą rządy ludzie naprawdę bogaci, lecz nie złotem, a bogactwem, jakiego potrzeba by człowiek był szczęśliwy, a więc bogactwem życia dobrego i rozumnego. Nie stanie się tak, jeśli sprawy publiczne dostaną się w ręce ludzi ubogich złąknionych dóbr prywatnych, przeświadczonych, że odtąd będą zagarniać dobro. Gdy bowiem rządenie zmienia się w przedmiot, o który się walczy, to taka wojna domowa i wewnętrzna niszczy samych walczących oraz resztę państwa.

– To najczystsza prawda – przytaknął.

– Czy jest, według ciebie, jakiś rodzaj życia – zapytałem – pozwalający gardzić urzędami władzy politycznej inny niż życie w prawdziwej filozofii?

– Nie, na Zeusa – odrzekł.

– A więc ludzie, którzy kochają rządenie, nie powinni się za nim uganiać. W przeciwnym razie zakochani rywale będą ze sobą walczyć.

– Jak najbardziej.

– Kogóż więc innego zmusisz do bycia strażnikiem państwa jak nie ludzi, którzy w tych sprawach są najrozumniejsi, przez co państwo jest najlepiej zarządzane, i którzy mają inne zaszczyty i lepsze życie od życia politycznego?

– Nie ma nikogo innego – odparł.

przełożył Ryszard Legutko